



Znaczki pocztowe, znaczki chlebowe...

Mieszkanie, do którego wprowadziłam się niecałe dwadzieścia lat temu nie było duże. Po śmierci mojej babci pozostały w nim meble, ubrania, garnki, kwiatki doniczkowe, stare zegary i żywe wspomnienia – po niedługim czasie okazało się, że są to wspomnienia nie tylko moje i że jest ich znacznie więcej, niż mogłabym się tego spodziewać...

Wszystko zaczęło się od pierwszych porządków, podczas których znalazłam podniszczony kartonik ze starymi fotografiami. Część tych zdjęć była wykonana w międzywojniu, część przed pierwszą wojną światową. Na jednym z nich była moja babcia Helena – śliczna, mniejwięcej trzyletnia, bardzo subtelnej urody dziewczynka w białej sukience i wiązanych bucikach. Na innym babcia mojej babci Jadwiga Dziurkiewicz z domu Bajon, bamberka z podpoznańskich wówczas Jeżyc, promieniująca wewnętrzną pogodą ducha. Na kolejnym znalazłam jej męża Wojciecha Dziurkiewicza, pochodzącego z polskiej rodziny, również zadomowionej w Jeżycach, statecznego i pewnego siebie ojca wielodzietnej rodziny. W jego spojrzeniu odnalazłam to samo wewnętrzne ciepło, którym epatowała jego żona. Na innych zdjęciach były ich dzieci, dzieci ich dzieci, a także przyjaciele. Nie wszystkich umiałam zidentyfikować, niektóre osoby do dziś są dla mnie jakby „wspomnieniem nierozpoznanym”.

Zdjęcia, dokumenty, przedmioty – przy ich odnajdywaniu towarzyszyło mi wiele pytań, którymi zapytywałam moją mamę i brata mojej nieżyjącej już babci. Potem była wizyta w Archiwum Państwowym i wielokrotne tropienie szczątków informacji na licznych kartach, a niekiedy na skrawkach dokumentów, jakie po nich pozostały. A wszystkie te kroki stawiałam powoli, delektując się nowymi odkryciami. Za każdym razem, kiedy znów wyruszałam w tę podróż, miałam wrażenie, że szukam i spotykam przyjaciół, którzy zapisali dla mnie swoją historię nie tylko na pożółkłych kartkach dokumentów czy zdjęć. Ich historia płynie w moich genach i w mojej pamięci, a wraz postępem moich poszukiwań, staje się jakąś drobną cząstką mnie samej.

Aż w końcu znalazłam listy! Zostały opisane przez moją babcie jako korespondencja z rodziną Dziurkiewiczów w czasie okupacji. Na karteczce dołączonej do tej dość sporej paczuski widnieje adnotacja, że osoby, z którymi wymieniano listy, znajdowały się w tym czasie w Generalnej Guberni. Z treści listów wynika, że był to pobyt przymusowy. A z rozmów, które przeprowadziłam z osobami z rodziny, dowiedziałam się, że wyjazd w Tarnowskie Góry był dla nich skutkiem jakiejś formy oporu wobec niemieckich najeźdźców, po której byli zmuszeni uciekać przed okupantem. O jakie okoliczności dokładnie chodziło, jeszcze nie wiem. W ostatnich dniach pojawiła się pewna szansa na wyjaśnienie tej zagadki i oczywiście zamierzam z niej skorzystać.

W chwili znalezienia listów pomyślałam, że być może odnalazłam brakujący puzzel do mojej skromnej mentalnej układanki. A jest nim żywa wymiana myśli przelanych na papier, która daje o wiele pełniejszą odpowiedź na pytanie, które wielokrotnie sobie stawiałam, a które popychało mnie do ciągłych, choć swobodnych i dość niespiesznych, poszukiwań genealogicznych: kim byli ci, którzy kilka pokoleń temu, tworząc niepisaną tradycję mojej rodziny, w jakimś trudnym do oszacowania stopniu, wpłynęli również na to kim ja jestem dzisiaj, a także pośrednio na to, kim są moje dzieci i jakie będą ich dzieci? Nie przeceniając jednak ich wpływu na moje życie, z ogromną ciekawością sięgnęłam po pierwszą beżową kopertę zaadresowaną przez jedno z nich po niemiecku, wyposażoną w niemiecki stempel pocztowy, niestety pozbawioną znaczka z popiersiem Adolfa Hitlera – domyślałam się, że większość znaczków powycinał z fragmentami kopert mój dziadek Antoni, który był zapalonym filatelistą.

Listy pisali: Edmund – młody wujek mojej babci, Władysław – dużo starszy brat Edmunda, czasami żona Władysława Helena, a niekiedy także Leszek – syn Władysława i Zbyszek – młodszy brat Leszka. Niestety nie posiadam listów wysyłanych z Poznania do Generalnej Guberni. A zatem czytając tę korespondencję, mogłam się tylko domyślać na podstawie listów odebranych, co przeżywali moi dziadkowie w tych trudnych czasach.

Porównując daty, szybko doszłam do wniosku, że moja babcia, wymieniając tę korespondencję z rodziną Dziurkiewiczów w czasie II wojny światowej, miała niewiele więcej lat co ja, kiedy po raz pierwszy zaczęłam ją czytać. Babcia była mężatką, miała wtedy syna, wkrótce urodziła córkę – moją mamę. Ja, czytając pół wieku później przechowane przez nią listy, byłam w podobnej sytuacji rodzinnej: byłam żoną, mamą córki, a po pewnym czasie przyszedł na świat mój syn. Na tym etapie podobieństwa się jednak kończą, bo problemy egzystencjalne, z jakimi mierzyli się wówczas moi dziadkowie, były problemami zupełnie innego rozmiaru: babcia chorowała, dziadek bardzo ciężko pracował, w Polsce panował głód, brakowało dosłownie wszystkiego i w zasadzie każdego dnia musieli liczyć się ze śmiercią własną lub kogoś bliskiego.

Władysław, najstarszy z mężczyzn na wygnaniu pod Tarnowem, troszczył się o utrzymanie więzi rodzinnych z krewniakami, którzy zostali w Poznaniu, zabiegał o sprawy materialne, które były wówczas kwestią życia i śmierci, w sposób bardzo konkretny porządkował przestrzeń nowych okoliczności, z jakimi przychodziło im się mierzyć każdego dnia.

Po pierwsze bardzo doceniał wagę wzajemnego wsparcia:

Za liścik Wasz z dnia 28.08.1940 serdecznie dziękujemy. Odebraliśmy go dnia 2.09.1940. Wstępem i treścią tego listu nas Kochana Helo pocieszyłaś, bo wzywasz do wytrwania. My moja Kochana wytrwamy o ile jeszcze będziemy jaką strawę dostawać [...]. Jadamy niemal co drugi dzień grzybki, po które do lasu chodzimy¹.

Korespondencję rozpoczynano od informacji, kiedy dokładnie otrzymano list lub paczkę nadaną określonego dnia, potem szczegółowo wymieniano, co w danej paczce lub liście się znajdowało, opisywano też okoliczności, np. że paczka miała luźno zawiązany sznurek – a wszystko po to, żeby wiedzieć, jakie produkty albo kwitki na żywność lub pieniądze zostały po drodze skradzione. Na podstawie tych prostych przesłanek Władysław proponował dalszą strategię postępowania. Np. w liście z 4 września 1940 roku wysłanym do mojej babci napisał:

A teraz o ile Twoja możność bez uszczuplania dla swojej rodziny będziesz mogła nam coś przysłać to nie wkładaj do listów żadnych znaczków, a lepiej zatetrać takowe w jaki stary łąch.

Z kolei w liście z 5 grudnia 1943 roku Władysław wyraża swoją troskę:

Żał mi was bardzo, że przez kradzież tych znaczków chlebowych nie macie pewno co jeść. [...] Mój Boże, gdybym tak mógł, to bym przesłał Wam wór żytniej mąki na chleb, bo my mamy jej mały zapas...

W listach pojawiają się też zakamuflowane informacje na temat poczynań wojennych okupanta, jak w tym z 4 września 1940 roku, którego nadawcą jest Edmund:

Piszesz o mączeniu spokoju dniem i nocą brzęczeniem komarów karaluchowatych. To one tak wspaniale pilnują swoich gniazd i dzieci swoich, bo jak nam nawet wiadomo, o czym piszą chochliki, straszna im się teraz krzywda dzieje [...]. U nas natomiast owady te znikły [...] z przestrzeni [...]².

Listy Edmunda, choć inspirowane tymi samymi wojennymi okolicznościami, są najczęściej opisem przeżyć wewnętrznych i osobistych przemyśleń związanych z czasem wojny, a także wspomnień z czasów, które przed wojną mogli spędzać razem w Poznaniu. Bywają smutne albo zabawne. Edmund pisał je kaligraficznie, z naturalną dbałością o formę. Nadawał im szerszy, niekiedy artystyczny, niekiedy filozoficzny, wymiar.

¹ List Władysława Dziurkiewicza do Heleny Kościelniak, 4 września 1940 roku.

² List Edmunda Dziurkiewicza do Heleny Kościelniak, 4 września 1940 roku.



Listy Leszka są bardzo konkretne i szczere, a jego charakter pisma naj czytelniejszy. Czytając je, można łatwo zorientować się w konkretnych okolicznościach, jakie niosły ze sobą czasy okupacji i życia na wygnaniu.

Z listów Władysława bije największa troska o to, żeby w tym trudnym czasie rodzina trzymała się razem. Mam wrażenie, że to właśnie on czynnie podtrzymywał więzi rodzinne i zaangażowanie we wzajemną pomoc, której przejawy są obecne niemal w każdym liście. Zachęcał do pisania listów, a niekiedy wręcz ponaglał, tłumacząc to tym, że kiedy korespondencja się opóźnia, oni (Piątka Wygnańców) zaczynają się martwić o zdrowie i życie rodziny z Poznania.

Prawie we wszystkich listach pojawia się prośba, żeby pozdrowić Babcie. Są bardzo zainteresowani tym, jak ona znosi czas wojennej zawieruchy i rozłąki. Proszą, żeby ją pocieszać i podtrzymywać na duchu. Telegramy i listy o jej chorobie, a potem śmierci bardzo ich przybijają. Ale również w tych okolicznościach wzajemne podtrzymywanie się w przeżywaniu żałoby pozwala im przetrzymać trudne chwile.

Dziś, gdy już wiemy, kiedy i jak zakończyła się II wojna światowa, z żalem czytam powracające w tej korespondencji nadzieje, takie jak w liście Leszka z dnia 5 kwietnia 1941 roku: „wierzymy, że koniec bliski i powrót pewny”. A jednak to właśnie te nadzieje, choć rzeczywistość twardo je weryfikowała, a także głębocka, ciepła, a nawet czuła przyjaźń, pozwoliły im przetrwać w godny sposób czasy tak ciężkie, że trudno to sobie wyobrazić.

O tych listach mogłabym opowiadać długo, bo odkrywam w nich także styl życia i charaktery moich dziadków, choć tylko w formie jakby odbicia lustrzanego zapisanego w korespondencji przez nich otrzymywanej. Są dla mnie cenne, bo wiążą się z historią tych, których znałam, choć jeszcze nie wtedy, bo urodziłam się wiele lat po zakończeniu wojny.

Dziś jestem żoną i mamą, podobnie jak moja babcia w czasie II wojny światowej. Moja codzienność w najmniejszym stopniu nie przypomina ogromu trudów, przed jakimi ona stawała w tamtym czasie. A moja skrzynka pocztowa nigdy nie stanie się przystanią dla tak licznych epistolarnych gości. Bo choć lubię posługiwać się słowem pisanim, chyba już nigdy nie napiszę i nie otrzymam tak wielu, tak treściwych papierowych listów w kopertach ze znaczkiem pocztowym. Najczęściej piszę maile albo po prostu dzwonię do moich kuzynów i kuzynki, którzy mieszkają w innym mieście. Tak jest prościej i szybciej. A jednak, trochę mi żal tej papierowej formy, kartek, których można było dotknąć i poczuć ich zapach, liter kreślonych zgodnie z własnym charakterem, które niekiedy odzwierciedlały też aktualny stan ducha osoby piszącej. Żal mi, że sama tak rzadko piszę i otrzymuję tradycyjną korespondencję.

Czytając listy spod Tarnowa, miałam z początku wątpliwości, czy wolno mi to robić. Nie były przecież zaadresowane do mnie. Nawet jeśli nie znałam osobiście ich nadawców, a moi dziadkowie, czyli adresaci tej korespondencji, już odeszli, nie byłam pewna, czy nie urażę w ten sposób czyichś uczuć. Nie żałuję jednak, że zdobyłam się na przekroczenie własnych wątpliwości. Bo w tych listach odnalazłam coś bardzo wyjątkowego, co chciałabym przekazać moim dzieciom, i właściwie już to robię, czyli tradycję rodzinną zakorzenioną w konkretnych ludzkich historiach i wypływającą z konkretnych przekonań, które sprawdziły się w bardzo trudnych dla rodziny okolicznościach. To dużo więcej niż tylko zdjęcia, daty, dokumenty i przedmioty. Spoglądając na podniszczone listy pachnące nie tylko moimi wspomnieniami, myślę twórczo i ciepło o sztafecie pokoleń, którą Opatrzność włożyła teraz w moje ręce. I zastanawiam się, co ja mogę dzisiaj dołożyć do rodzinnego albumu i wirtualnej skrzyni wspomnień?